

Ryszka, Franciszek

Glosa do tez - komentarz do dyskusji

Komunikaty Mazursko-Warmińskie nr 1-2, 205-212

1984

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Franciszek Ryszka

GŁOSA DO TEZ — KOMENTARZ DO DYSKUSJI

Zgadza się zapewne z prawdą to, o czym parokrotnie i z naciskiem wspomniano na tej konferencji: w okresie kryzysów, niepowodzeń i klęsk stawia się w Polsce pytanie o nasz charakter narodowy, jakby w odpowiedzi na nie szukało się pociechy, a czasem i środków zaradczych. Powtarza się świadectwa żywych i przypomina świadectwa zmarłych. Przywołuje się na pamięć doświadczenia dnia codziennego i obserwacje z kręgów bliższych i dalszych, lecz zawsze empirycznie uchwytnych. Co się widziało i słyszało od innych, przenosi się na papier. Obserwacja miesza się z dydaktyką, dydaktyka z anegdotą. Najważniejsze, że mamy gotowe twierdzenia. Przekazane w sposób kategoryczny schodzą w pewnym momencie z kart historiografii, by przekształcić się w publicystykę polityczną. Tak właśnie bywa, kiedy w publicystyce historycznej odgrzewa się dawno przebrzmiałe spory romantyków i pozytywistów, marzycieli i pragmatyków, irracjonalistów i racjonalistów. Nie są zresztą ważne podziały wśród domniemyanych antagonyzów. Ważne natomiast, że ilekroć się o tym mówi i pisze, tylekroć wraca sprawa „charakteru narodowego” lub pewnych jego względnie trwałych komponentów, które raz biorą górę, innym razem ustępują na plan dalszy.

Dyskusję tego rodzaju mogą wywołać i zapewne wywołują w Polsce — osobiście chyba w czasach obecnych — nieprzewidziane efekty w wyobraźni zbiorowej. Oto, skoro się ludziom wmawia, że mają odpowiednie cechy charakteru zbiorowego (to znaczy „ma je każdy” a właściwie znacząca większość), są oni skłonni poddać się takiej sugestii. Sądzę, że dwa czynniki uprawdopodobniają taką możliwość. Po pierwsze — kiedy twierdzenia pochodzą od autorów uznawanych z tych czy innych powodów za autorytety, po wtóre — gdy mówi się o cechach charakteru, które można uznać za sympatyczne, ponieważ tradycja, własnej kultury łączy je z powszechnie uznawanymi wartościami. Dobrze czuć się odważnym — choćby na pograniczu lekkomyślności, dobrze — zdolnym do poświęceń, choćby wynik ich był problematyczny, dobrze — wiernym wobec własnych symboli, choćby symbole kiepsko przystawały do rzeczywistości. Niegroźnie w zestawieniu z tym zdają się wyglądać cechy mniej sympatyczne: brak odpowiedzialności i lojalności, nieumiejętność organizacji życia, nawet gdy eufemizmami pokrywamy przywary dość pospolite: lenistwo, bałaganiarstwo, nieuczciwość i temu podobne.

Nie chcę, broń Boże — bo byłbym zaprzeczył sam sobie — czynić najlżejszych sugestii na temat mojej własnej koncepcji polskiego charakteru narodowego — optymistycznej czy pesymistycznej. Pragnę tylko zwrócić uwagę, że ludziom można czasem wmówić pewne cechy, zamieniając po prostu zdania powinnościowe na orzekające. Zabieg ów przyczynia się do konstruowania świadomości fałszywej, jeśli za jej warunek można uważać zbyt dobre zdanie o samym sobie, i jeśli z tego nazbyt dobrego wyobrażenia wyciąga się wnioski

co do własnego losu. Jest nam źle, czy dzieje się nam krzywda (rzeczywista, a nie domniemana!) — to wina obcych, zewnętrznych sił. Powodzi nam się dobrze, zawdzięczamy to samemu sobie. Być może zdarza się tak niekiedy w historii i być może częściej niż się nam zdaje, ale po drugiej jednak stronie historycznych konstrukcji i ocen rozciąga się materia rzeczy pogmatwana i niejasna. Poszukiwanie nazbyt prostych wyjaśnień przyczynowych nie jest najlepszym sposobem dociekania o funkcji przeszłości dla teraźniejszości.

Właśnie teraźniejszości. Historycy, wierni wyjaśnieniom genetycznym, skłonni są dostrzegać w niej nawarstwione i przekazywane z pokolenia na pokolenie przeżycia czy doświadczenia zbiorowe, które czasem będziemy nazywali kulturą, a czasem tylko tradycją. W tradycyjnych upatruje się kodu genetycznego „charakteru narodowego”: jesteśmy tacy lub przede wszystkim tacy, jakimi stworzyła nas historia.

Tymczasem abstrakcyjna historia nie stworzyła niczego. Jeśli ograniczyć do rozsądnego rozmiaru rolę pospolitego przypadku, wówczas trzeba po prostu się zgodzić, że wszystko lub ściślej: prawie wszystko stworzyli sami ludzie, zmagając się z przyrodą i... z innymi ludźmi. Wszelkie determinizmy (odrzuć ich przecież nie sposób) to tylko działania innych ludzi. Odwoływanie się do historii bywa zwykle pobożnym życzeniem historyka, w lepszym razie — projekcją jego własnej postawy wobec przedmiotu obserwowanego i to przez pryzmat wybranych zapisów o minionych aktywnościach ludzkich.

Rzecz dotyczy wszakże wyjaśnienia, a nie opisu, chociaż wyjaśnienie nie powinno opisu wyprzedzać. Opis, najbardziej nawet ogólny, by nie powiedzieć prymitywny, nie może się sprowadzać do szkicowania figur jednowymiarowych, za jakie można uważać kopie bohaterów literackich albo postacie stereotypowe, zaludniające folklor auto- i heterostereotypów etnicznych. Gdybyśmy przypisywali np. Hiszpanom wzorowanie się na bohaterze Cervantesa Don Quijote, a sobie np. na postaci Konrada z Mickiewiczowskich *Dziadów*, wówczas znaleźlibyśmy się poza granicą sensownego potraktowania sprawy. Myślę, że równie mało sensowne byłoby wprowadzenie na karty naszych rozważań karykaturalnych ludzików ze szkicownika Sławomira Mroźka, które ten świetny pisarz i rysownik przedstawił kilkanaście lat temu — głównie na szpaltach „Przekroju”: coś pośredniego między Krakowiakiem i Ulanem. Nieodzowne pawie pióro albo wysoką rogatywkę zastępuje berecik nasunięty na czoło, krakowski strój — ortalion i teczka. Tak właśnie widział Mroźek (w karykaturze) postaci „przeciętnego Polaka” oglądane na ulicy, na dworcach, przy budkach z piwem, na delegacjach, w domach wczasowych, rzadziej przy pracy, a jeśli już w codziennym trudzie to najczęściej przy biurku. W satyrycznym obrazie kultury masowej pasuje do tego celna piosenka Wojciecha Młynarskiego: „W Polskę idziemy...”, „Jesteśmy na wczasach, w tych góralskich lasach...” czy wreszcie długoletni bestseller na rynku piosenkarskim „Przyjdź walec i wyrówna”, dość trafnie oddawać miał polską stereotypową wersję egalitaryzmu. A więc Konrad i tradycja romantyczna czy raczej ludzki Mroźka w aurze piosenki Młynarskiego? Co jest bardziej bliskie spłaszczeniu do jednego wymiaru „charakterowi narodowemu”?

Osobiście optowałbym raczej za tym drugim, przyjmując za postawę tej opcji statystyczną częstość spotykanych postaci i ich zachowań. Sęk w tym, że taki sposób odczytania daleko nas nie zaprowadzi, ponieważ odwołuje się do cech mimo wszystko mało znaczących w „Polaków portrecie własnym”, nawet gdyby były prawdziwe. Sądzę, zresztą jak wielu, że pozowanie na Kon-

rada bywało i jest udziałem bardzo nielicznej mniejszości. „Gorączka romantyczna” — niech mi prof. Maria Janion wybaczy, że postponuję jej określenie — lecz się szybko, chyba żeby się zamieniała w swoją własną karykaturę, jak na złośliwych rysunkach Mrożka.

Mówimy jednak na serio, gdy zaś mówimy w ten sposób, traktujmy „charakter narodowy” jako zbiór cech syndromatycznych, które wtedy stają się ważne, gdy powodują zachowania znaczące dla losów zbiorowości. Muszą to być cechy występujące z dużą częstotliwością i w proporcjonalnym rozkładzie w całej populacji narodowej, by móc powiedzieć, że posiada je właśnie „przeciętny Polak”, to znaczy taki, jakiego najczęściej można spotkać. Sądzę, że ani wzorce literackie, ani postulowane normy czy tylko reguły zachowań nie nadają się w ogóle do jakiegokolwiek interpretacji, nawet gdyby uczynić z nich modele idealne, do jakich będziemy przymierzać zaobserwowane postawy i zachowania. Tu właśnie widać, jak wielce pomocna okazuje się wiedza o przeszłości, jeśli będziemy ją uprawiać gwoli poszukiwaniu cech względnie trwałych, tzn. silnie opornych wobec zmian cywilizacji i kultury, wywołanych przeważnie (choć nie tylko) przez silne przeobrażenia społeczne. Przesunięcia na drabinie hierarchii socjalnej mogą powodować i zwykle powodują skłonności do naśladowania ze strony tych, którzy przesunęli się dostatecznie wysoko, by naśladować styl życia i obyczaje warstw do niedawna elitarnych. Przynosi to jednak nader często efekty karykaturalne, kiedy beneficjanci awansu — niekoniecznie spostonowani dostatecznie „prominenci” — wyobrażają sobie, że trzeba konsumować dużo, gwałtownie i spektakularnie. Nie mogą zapomnieć, jak twórcy filmu *Trędowata* (w nowej wersji) przedstawili przyjęcie we dworze ordynata Michorowskiego. Owe stoły zatłoczone były jak upchanym jadem — to doskonały przykład takiego karykaturalnego naśladownictwa przez projekcję swoich wyobrażeń w przeszłość. Trzeba oddać sprawiedliwość Mniszkwównie; ona znacznie więcej wiedziała o stylu życia arystokracji w swojej epoce.

Jednakże i realia współczesne, co prawda na wąskich, lecz znaczących dla opinii marginesach, układają się w obraz karykaturalny. Owe wesele nie tylko na wsi, ale i w mieście, gdzie wynajmuje się sale dla paru dziesiątków osób, stoły uginają się od jedzenia i leje się strumieniami alkohol. Czy jest to przejaw „charakteru narodowego” o historycznej proveniencji („zastaw się, a postaw”), czy raczej ogólnoludzka potrzeba nawiązywania więzi przez taką czy inną postać imponowania bliźnim i przekupywania bliźnich. Można to zaklasyfikować równie dobrze jako cechę pod nazwą „gościnność”, jak i pod nazwą „rozrzutność”. Mniejsza o to, że w obu wypadkach będzie to zmienna nominalna. Można ją przenieść na język definicji operacyjnych i mierzyć wedle odpowiednio dobranych wskaźników: niech to będzie liczba ugoszczonych osób, wydanych pieniędzy itp. Rzeczowy przykład wskazuje na ambiwalencję pewnej cechy, nawet gdy jest wyrażona w tej samej wartości zmiennej, tzn. ma jednakowe natężenie, bo przecież samo zachowanie może być oceniane raz jako „gościnność”, innym razem jako „rozrzutność”. Zależy to od normy kulturowej, jeśli takowa istnieje, albo od pospolitego zwyczaju, który wydaje się tak oczywisty, iż człowiek nie zastanawia się nad wartościowaniem swego postępowania.

Walencja postaw uważanych za należące do „charakteru narodowego” zależy tedy od stosunku do własnej kultury. Nieprzypadkowo sprawa staje na porządku dziennym, kiedy rodzą się wątpliwości, czy ten „charakter” godzien

jest rzeczywiście aprobaty. Nie sędzę, aby był to dostateczny powód nadania sprawie rangi problemu naukowego, a sąd mój opieram m. in. na wrażeniach wy niesionych z toczonej na tej sali dyskusji. Dyskusja zaś zdaje się potwierdzać metodologiczną użyteczność tego pojęcia właśnie wtedy, gdy dzieją się sprawy konfliktowe. „Charakter narodowy” byłby ciekawostką w studiach nad kulturą zbiorowości etnicznej, gdyby nie to, że przypisuje się mu zdolność wywoływania zachowań konfliktowych albo wpływania na taki, a nie inny przebieg konfliktu. Oczywiście można mu przypisywać istotne funkcje w różnych dziedzinach życia zbiorowego, np. w organizacji pracy, w zakresie dyscypliny społecznej itd., co w publicystyce bywa ulubioną dziedziną poszukiwań.

Śmiem twierdzić, że jest to mniej ważne od tego, o czym wspomniałem przed chwilą. Jeśli wielu ludzi objawia naraz skłonność do jednakowych zachowań, bo jednakowo traktują sytuację, w jakiej się znaleźli, a nie nakazuje im tego ani norma, ani bodziec pochodzący z zewnątrz, wówczas nasuwa się myśl, że ci ludzie mają coś wspólnego w charakterze. Myśl taka bywa wprowadzie projekcją z jednostki na zbiorowość, jeśli przypisuje się komuś „charakter społeczny” (ein Sozial-Charakter — jak to kiedyś nazywał Walter Benjamin), tzn. widzi się w jednej, możliwie znaczącej postaci historycznej takie nagromadzenie cech osobowości, jakie rzekomo typowe są dla całej zbiorowości, z której wywodzi się nasz bohater. Przypadkiem takiego „charakteru socjalnego” miałby być np. Hitler dla Niemców, albowiem miał on reprezentować wszystko, co uważano za zło panujące w „duszy niemieckiej”, czyli właściwie dla ujemnej strony niemieckiego „charakteru narodowego”. W tym i innych podobnych przypadkach typowość oznaczałaby rangowe znaczenie danej cechy lub zespołu cech, a nie ich dysteriubicję w zbiorowości. Ale i z tym ograniczeniem walor naukowy konstrukcji „charakteru społecznego” jest żaden. Lepiej już pozostać przy „charakterze narodowym” w intuicyjnym pojęciu tej nazwy, mając na uwadze rangową ważność i statyczną częstość danej cechy lub danego syndromu.

Wróćmy do przerwane go wywodu. Skoro gra warta świeczki, bo tyle się o tym mówi, warto zacząć od wyraźnego określenia obu kryteriów: ważności cechy względnie syndromu i ustalenia statystycznej istotności zjawiska. Próby posługiwania się metodami statystycznymi nie są rzeczą nową. Były uprawiane co najmniej od trzydziestu lat, najpierw w Stanach Zjednoczonych, w „szkole” metod kwantytatywnych, jeśli tak określić wolno kierunek zapoczątkowany przez Paula F. Lazarsfelda na terenie socjologii zachowań politycznych czy wprost — w politologii. W kilkanaście lat później, nie bez wpływu kierunku behavioralistycznego skrzyżowanego z cybernetycznym potraktowaniem polityki (K. W. Deutsch) — próby wyodrębnienia cech „narodowych” przeszły do studiów nad konfliktami zbiorowymi. Początek dały prace amerykańskiego psychologa R. B. Cattella z lat czterdziestych. Cattell posłużył się konceptem cech, które nazywał cechami „syntalitycznymi”, a które oznaczać miały cechy „osobowości zbiorowej” — przede wszystkim na poziomie narodu, ściślej — populacji jednego państwa, oczywiście ze względu na dogodność posługiwania się informacją statystyczną. Kilkanaście lat później z doświadczeń Cattella skorzystali amerykańscy badacze konfliktów wewnętrznych i zewnętrznych, czyli po prostu wojen (T. Gurr, J. D. Singer, R. J. Rummel i in.). Przyświecała im idea, aby przez taksonomiczny opis „narodów” (sc. mieszkańców państw) w dłuższych lub krótszych interwałach czasowych

wykrywać związki między atrybutami, postawami i cechami, wskazującymi z kolei na konfliktowość lub odwrotnie skłonność do współżycia z innymi. Obserwacje obejmowały naturalny ruch ludności — ze szczególnym zwróceniem uwagi na wskaźniki śmiertelności (przede wszystkim niemowląt), szansę przeżycia i śmiertelność wskutek chorób epidemicznych. W dalszej kolejności rejestrowano stan urzędzeń socjalnych, ekwipunek służby zdrowia (ważne wskaźniki: liczba lekarzy i łóżek szpitalnych na jednostkę populacji), później zaś warunki oświaty powszechnej: stan literacji, liczbę uczniów wszystkich typów szkół w układzie pionowym w porównaniu do rozkładu danych grup wieku, liczbę studiujących na wyższych uczelniach i wydanych dyplomów. Opis rozciąga się dalej na poziom produktywności i ekwipunku cywilizacyjnego, poczynwszy od (dyskusyjnego zresztą) wskaźnika, jakim jest dochód narodowy brutto per capita, jakkolwiek wiarygodne dane w tej materii dadzą się zestawić zaledwie na 25—30 lat wstecz, a więc dotyczą czasów po drugiej wojnie światowej. Poziom cywilizacyjny „narodów” objawiać się miał najlepiej przez stan urzędzeń komunikacji i telekomunikacji (poczta i kolej, stan dróg i motoryzacji, radio i telewizja) oraz ekwipunek gospodarstw domowych. Stan budownictwa mieszkaniowego i zagęszczenie powierzchni kubatury mieszkalnej oraz konsumpcja ważnych artykułów spożywczych (zwłaszcza mięso i cukier) uzupełniają obraz „poziomu życia”, jakkolwiek nie mówią jeszcze o jego „jakości”. Do tego potrzebne były (trudne do ustalenia i wątpliwe wedle ich relacji do indicatum!) wskaźniki konsumpcji kulturowej. Jednakże owe wskaźniki nieczęsto pojawiały się we wspomnianych wyżej opracowaniach. Słuszne natomiast wydawało się nieprzywiązywanie szczególnej wagi do poziomu produkcji przemysłowej i agrarnej, jakkolwiek ustalono ponad wszelką wątpliwość, że wysoka wydajność rolnictwa (w produkcji zbóż czy też jednostek umownych — „crop units”) koreluje się dodatnio bardzo wysoko ze wskaźnikami poziomu cywilizacji technicznej, a wysoko ujemnie z przypadkami śmiertelności wskutek chorób epidemicznych, śmiertelnością niemowląt i niską szansą przeżycia. Rachunek korelacji wykazywał — rzecz interesująca — silniejszy związek zmiennych z zakresu rolnictwa z „poziomem” (jakością) życia niż ze zmiennymi obrazującymi rozwój i stan produkcji przemysłowej w dziedzinie stali surowej i surowców energetycznych (ropa naftowa nie stanowi wyjątku!).

Powie ktoś, że to banał nie wyjaśniający wiele więcej (tyle, że dokładniej) niż się mówi w popularnym powiedzeniu: „Lepiej być bogatym i zdrowym niż biednym i chorym”. Nie daje się stąd wyciągnąć wniosku, żeby „biedni i chorzy” byli bardziej skłonni do konfliktów niż „bogaci i zdrowi”. Teoria walki klasowej kaže nam wprawdzie poszukiwać źródeł konfliktu w ciężkiej sytuacji wyzyskiwanych i upośledzonych, czyli „biednych i chorych”, jednak samo różnicowanie bogactwa bez uwzględnienia czynnika politycznego nie zaprowadzi nas daleko, ściślej — nie wskaże, kiedy ludzie odchodzą od prymitywnych, prepolitycznych form walki klasowej. Polityka nie jest jednakże autonomiczną i autoteliczną aktywnością ludzi. Gdzie jest więc granica, od której zaczyna się autentyczny konflikt polityczny: wewnętrzny?

Mimo wielce ambitnych wysiłków, polegających m.in. na zgromadzeniu wielkiej liczby zmiennych (ponad dwustu w projekcie Rummela z lat sześćdziesiątych, nazwanego „Dimensions of Nations”) metoda taksomicznego opisu w sumie raczej zawiodła. Związki między atrybutami, postawami i zachowaniami — te ostatnie opisać i przedstawić operacyjnie było najtrudniej — nie

wykazały dostatecznej mocy i trwałości, aby na ich podstawie mówić o konfliktowości „narodów” i innych wielkich grup, podlegających obserwacji i zabiegom porównawczym. Niemniej, nie musi to od razu oznaczać, by trud poszedł na marne. Wprawdzie twierdzenia o zależnościach — między zmiennymi opisującymi poziom (jakość) życia w danym kraju (czyli grupy „narodowej”), a zachowaniami ludzkimi zaobserwowanymi wprost lub na podstawie odpowiednio dobranych indykatorów — rzadko tylko zdołały się obronić, ale z opisu i ustalenia zależności można było bądź wyprowadzić nowe, bądź uściślić przyjęte wcześniej klasyfikacje i typologie. Podziały na „północ” i „południe” lub bardziej dokładnie — na „protestancką północ” i „katolickie oraz prawosławne południe” a także podziały między „bogaty” i „biedny” (sc. między społeczeństwami agrarne i industrialne), społeczeństwa zacofane i pozostające na wysokim poziomie cywilizacyjnym — dotyczy to najpierw Europy — okazały się zawodne, jeśli stąd i tylko stąd miało się wyprowadzać dociekania o „charakterze narodowym”. Potoczna wiedza o naszym kontynencie zdaje się potwierdzać prawdy odkryte niemal sto lat temu o tym, że „etyka protestancka” i „duch kapitalizmu” łączy zasada wynikania. Niemniej historia poszła daleko naprzód, a wiedza empiryczna o przedmiocie podniosła się do tego stopnia dokładności, że twierdzenia Maxa Webera — podważalne już w czasie ich ogłoszenia — wydają się dziś cokolwiek zwietrzałe.

„Duch” formacji kapitalistycznej — gdyby takowy dawał się zidentyfikować — mógłby zapewne pokrzyżować się z „duchem” narodu, ten ostatni zaś — zamiast „unosić się nad wodami”, mógłby się zwyczajnie ujawnić w dużych bankach i małych kantorkach wymiany pod każdą szerokością geograficzną, co więcej — pozostawać w zgodzie z religią i kulturą duchową osobników, w których miałyby się wcielać. Pewne cechy ekonomiczne społeczeństw jawią się wszędzie i to nie na zasadzie dyfuzji kultur, lecz zgodnie z regułami krążenia towarów i usług. Wykrywanie ich natężenia w rozkładzie statystycznym daje się do pewnego stopnia przeprowadzić w opisie taksonomiczno-historycznym „narodów”, lecz czy stąd można wyindukować osobliwości „charakteru narodowego”, to już wydaje się mocno wątpliwe.

A jednak metoda może być i bywa przydatna w politologii pod warunkiem, że nadaje się jej wymiar ograniczony i nie rozbudza zbytnich nadziei. Opis, nawet najdokładniejszy, nie daje nam możliwości zdefiniowania danego „narodu” (myślę wciąż o populacjach mieszkańców państw badanych w dłuższym czasie metodami statystycznymi) wedle jego „charakteru”. Nie mamy prawa powiedzieć, że pewien naród jest „wojowniczy”, a inny nim nie jest — chociaż dane państwo toczyło szczególnie dużo wojen. Nie sądzę, by inną zbiorowość można uznać jako „pracowitą”, ponieważ jej produktywność jest wyjątkowa, niech to będzie nawet przypadek Japończyków. Sądzę raczej, że trzeba by się tu posłużyć kategorią „etyki sytuacyjnej”, np. kiedy spiętrzenie zależności systemowych w czasie wojny uruchamia takie, a nie inne reakcje zbiorowe, „etyka sytuacyjna” może się utrwalić i wówczas byłoby to bliższe „charakteru narodowego”, ponieważ cechy doń przynależne mogą się objawiać bez konkretnego bodźca. Wolałbym jednak zostawić dociekania w tym przedmiocie psychologii społecznej. Jest to na pewno dyscyplina najbardziej powołana, by wypowiadać się wiążąco w tej sprawie — z pomocą lub bez pomocy historyka.

Natomiast nie rezygnowałbym z posługiwania się charakterystyką zachowań w politologii. Jej aspekt behawioralny jest, moim zdaniem, niekwestiono-

wany, choćby behaviorizm jako uniwersalny klucz do wiedzy o polityce uznać po prostu za nieprzydatny. Sądzę, że w pewnych przypadkach warto mieć na uwadze wyraźnie zdefiniowane cechy zbiorowe, które dałyby się zmieścić w pojęciu „charakteru narodowego”, ale traktując to pojęcie raczej jako koncept metodologiczny. Otóż z obserwacji pewnych konfliktowych zachowań w polityce, lub prościej — przy starciach partii i ruchów politycznych, manifestują się raptem cechy, które nie dają się wyjaśnić inaczej niż przez niepowtarzalne osobliwości danej kultury politycznej. Sam konflikt, od strony jego genezy, daje się wyjaśnić przy pomocy „źródeł” mniej lub więcej uniwersalnych. „Źródła” dają się stosunkowo prosto opisać, a do tego są na ogół stopniowalne i można je wyrazić operacyjnie, aby je później pomierzyć. Można więc ustalić z pewnym stopniem dokładności prognozowania, kiedy konflikt powinien wybuchnąć.

Inaczej jednak przebieg konfliktu. Dlaczego jego strony zachowują się tak, a nie inaczej, dlaczego np. z tępym uporem stroną od kompromisu, skoro wygrana nie mieści się w rozsądnym przewidywaniu? Tu, jak sądzę, jest pole do popisu dla badających zjawisko „charakteru narodowego”. Tyle, że powierzchowna obserwacja, odwołująca się do literatury (często przestarzałej, tzn. bez żadnego wpływu kulturowego na współczesność) albo jeszcze gorzej: do zestarzałych stereotypów (wszelkich romantyzmów, pozytywizmów, podziałów dzielnicowych etc.) — niewiele nam chyba pomoże.

Chciałbym na koniec odwołać się do mniej lub bardziej (raczej: mniej) znanych wyników badań opinii publicznej, jakie jeszcze w latach sześćdziesiątych prowadził Adam Podgórecki na temat kultury prawnej. Okazało się — podobnie zresztą jak w innych zbiorowościach szcycących się wielkim umiłowaniem wolności — że nie występuje zbyt wiele postaw tolerancyjnych, w sensie przyznawania wolności innym. Odwrotnie: występowała skłonność do represyjności i penalizacji życia, prawo zaś pojmowano nader powszechnie jako czynnik represji lub prewencji posługującej się zagrożeniem, a więc jako środek deprywacji, a nie regulacji życia społecznego. Poglądy te zdają się dość trwałe. W prowadzonych aktualnie pod moim kierownictwem ogólnopolskich badaniach nad kulturą polityczną musieliśmy na podstawie wstępnych ustaleń i badań pilotażowych przyjąć hipotezę, iż werbalne opowiadanie się za demokracją i wolnością nie idzie w parze z autentycznymi postawami głosicieli podobnych poglądów. Co gorsza: możemy założyć występowanie takich postaw, jakie przyjęło się za składniki „osobowości autorytarnej”, tj. psychospołecznych warunków do szerzenia się ekstremalnych ruchów prawicowych.

Nie twierdzą, by było tak źle. Nie mamy jeszcze wiarygodnych wyników zakrojonego na szeroką skalę sondażu demoskopicznego. Możemy jednak przyjąć, że część naszych potencjalnych respondentów będzie się plasować dość wysoko na „skali F” (zmodyfikowanej od czasów studium zespołu Th. Adorno w 1950 r.), czyli takiej skali w empirycznym badaniu postaw, jaką dziś na ogół bezdyskusyjnie przyjmuje się dla zidentyfikowania „osobowości autorytarnej”. Przypomnijmy, że cechuje ją nietolerancja, afirmacja siły, skłonność do projekcji własnych emocji („on nienawidzi mnie, przeto muszę go nienawidzieć”), konserwatyzm obyczajowy, skłonność do agresji, hołdowanie teorii spiskowym przy wyjaśnianiu własnego losu i historii.

Na razie jest to tylko hipoteza, przyznam, iż niezbyt optymistyczna. Przypuśćmy jednak, że motywy są głównie „sytuacyjne”, ściślej — determi-

nują je przeżycia wywołane przez aktualny ostry kryzys świadomości zbiorowej. Jedno wydaje mi się pewne: musimy przyjrzeć się dokładniej ludziom, którym chcemy przypisać posiadanie określonego „charakteru”. Inaczej będziemy wciąż obracać się na niewielkiej przestrzeni, wytyczonej przez własny krąg doświadczeń, wspartych literaturą piękną (czy zawsze „piękną”?) i anegdotą historyczną.

Taka jest moja glosa do teorii „charakteru narodowego” i komentarz do toczącej się dyskusji.